

DO TRZECH
RAZY SZTUKA

Izabella Frączyk

DO TRZECH RAZY SZTUKA

Prószyński i S-ka

Copyright © Izabella Frączyk, 2016

Projekt okładki
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© Irene Lamprakou/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Maria Talar

Korekta
Maciej Korbasiński


Łamanie
Jacek Kucharski

ISBN 978-83-8069-389-0

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
OPOLGRAF Spółka Akcyjna
45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Dla Alicji i Zuzanny 

Rozdział 1

Od godziny wmawiała sobie, że niczego nie pamięta, ale jak na złość pamiętała całą tę nieszczęsną sytuację aż nazbyt dobrze, mimo że od tamtej pory minęło sporo czasu. Prawie nigdy nie chorowała, jednak tamtego dnia złapała ją angina w najcięższym wydaniu. Był piątek i już od rana czuła się źle. Profilaktycznie połknęła dwie tabletki gripexu i licząc na szybką poprawę, zaparzyła sobie kawę. Zignorowała łamanie w kościach, burknęła innym pracownikom znienawidzonej agencji ubezpieczeń „cześć” na powitanie i punktualnie o czasie zasiadła za biurkiem. Jesienna pogoda za oknem pogorszyła się tak, że psa by nie wygnał, więc tego dnia Anka nie mogła narzekać na nadmiar klientów, a przecież brak klientów oznaczał brak prowizji dla niej. Około południa czuła się już tak źle, że zaczęła odliczać czas do szesnastej i marzyć o własnym łóżku, co jej się nigdy nie zdarzało. Dotkliwe dreszcze zdradzały gorączkę i była już pewna, że dopadła ją jakaś poważniejsza infekcja. Szczęśliwie nadchodził weekend, a wraz z nim

szansa na wyzdrowienie do poniedziałku. Potrzebowała pieniędzy i nie mogła pozwolić sobie na przestój w pracy. Obowiązujący w firmie tak zwany „motywacyjny system wynagrodzeń” w swojej genialności nie zakładał absencji i chorób.

Doskonale pamiętała tę chwilę, kiedy do jej biurka podszedł zdenerwowany młody mężczyzna i zapytał o ubezpieczenie zapewniające pokrycie kosztów leczenia za granicą. Anna udzieliła mu wtedy wyczerpującej odpowiedzi i nieprzytomna wypełniła polisę. W uszach jak na złość rozbrzmiały jej własne słowa.

– Przepraszam, który dzisiaj mamy? – zapytała nieprzytomna.

– Czternasty – odparł klient.

Machinalnie wpisała datę w polisie. Czuła się fatalnie, było jej wszystko jedno i marzyła, by ten facet już sobie poszedł. Mężczyzna podał niezbędne dane ojca, którego chciał ubezpieczyć, złożył zamaszyste podpisy na dokumentach i zadowolony uiścił należną składkę. Wybiegł z agencji, jakby go ktoś gonił, a Anna uznała, że dłużej już nie wytrzyma. Przeklęte chorobsko praktycznie ścięło ją z nóg. Nie pamiętała, jak wróciła do domu i gdzie zaparkowała samochód. Nawet nie miała siły, by cokolwiek zjeść, tylko od razu padła na łóżko i zapadła w ciężki sen. Przez całą noc pocila się tak, że dwukrotnie zmieniała piżamę. Raz było jej gorąco nie do wytrzymania, a za chwilę kłapała zębami z zimna. W sobotni poranek obudziło ją istne piekło w jej własnym gardle. Niestety wszystkie przychodnie były zamknięte, a ona nie chciała wydawać pieniędzy na prywatną wizytę lekarską. Angina na dobre zadomowiła się w gardle Anki, na migdałach

pojawiły się ohydne ropne czopy i zupełnie odeszła ją chęć do życia. Pomimo chorobowej maligny zdała sobie sprawę, że nie obejdzie się bez podania antybiotyku. Podgrzała jogurt w mikrofalówce i nagle doznała olśnienia. Od razu chwyciła za telefon i wybrała numer do Lucyny. Przyjaźniły się od czasu, kiedy w pierwszej klasie liceum wychowawczynie posadziła je w jednej ławce. Od razu zapały do siebie sympatią, choć mogło się wydawać, że zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru zupełnie do siebie nie pasują. Lucyna była drobną dziewczyną o błękitnych oczach. Ze swoją aniołkową aparycją i szopą blond loków na głowie stanowiła kompletne przeciwieństwo Anki. Ta, sporo od niej wyższa, mogła poszczycić się naturalnym hebanowym odcieniem prostych włosów i równie ciemną oprawą brązowych oczu. Dodawszy do tego apetyczne kształty, całość stanowiła całkiem atrakcyjne zestawienie. O ile jednak Lucyna od zawsze zdradzała ciągoty do wygłupów i zawsze o wszystkie szaleństwa na terenie szkoły w pierwszej kolejności posądzano właśnie ją, o tyle Anka stanowiła żywy przykład chodzącej opoki i solidnej firmy. Od dziecka była tak obowiązkowa i zdyscyplinowana, że jej przyjaźń z Lucyną stanowiła lokalne kuriozum. Były jak ogień i woda, ale rozumiały się bez słów. Nawet w czasie studiów, gdy Lucyna wyjechała do Lublina studiować wymarzoną weterynarię, a Anka w tym czasie rozgryzała taktyki marketingowe na krakowskiej uczelni, dziewczyny nie rozluźniły kontaktów.

– Lucyna, ratuj... – Anka wychrypiała do telefonu ze łzami w oczach. Ból w gardle doskonale imitował setkę szalejących superostrych żyłek.

– Boże, co znowu? – zapytała przyciszonym głosem Lucyna pewna, że to jakiś miłosny zawód albo jakaś inna awaria w sferze uczuć.

– Gardło, nie mam już gardła. Antybiotyki... Jezu, jak boli.

– Zaczekaj, oddzwonię za chwilę... – szepnęła.
– Właśnie kastruję kota, a właściciel wygląda, jakby miał stan przedzawałowy i był następny w kolejce do obcięcia jajek.

Niezawodna Lucyna zjawiła się po dwóch godzinach. Wyposażona w swój weterynaryjny kuferek, bez wstępów wypędzowała przyjaciółce gardło jodyną i zaordynowała augmentin. Wcześniej przytomnie zrobiła dla Anki podstawowe zakupy, by ta w najbliższych dniach nie padła z głodu, i pewna, że zrobiła wszystko, zabrała się do sprzątnięcia kuchni.

– W poniedziałek muszę być w robocie – wykrztusiła z trudem Anka. Z jej twarzy biła trupia bladeść. Mimo dwóch kołder i koca dygotała na całym ciele.

– Taa. Jasne.

– A co?

– Bóg cię opuścił? W poniedziałek to ty będziesz dziękować Dzieciątku Jezus, że samodzielnie doszłaś do łazienki. Osłabienie murowane.

– Ale ja muszę przed południem złożyć raport z ostatniego tygodnia. Muszę...

– Jaki ten raport? Trudne to?

Anka wzrokiem wskazała na swoją aktówkę. Lucyna w lot pojęła, o co chodzi, i wyjęła dokumenty. Raport dla towarzystwa ubezpieczeniowego był praktycznie gotowy. Do uzupełnienia pozostał tylko piątek.

– Dobra, wpiszę ci ten piątek i rano w poniedziałek podrzucę to do agencji. Gdzie masz te polisy? Dużo tego?

– Jedna – powiedziała szeptem Anka i wykończona opadła na poduszki, a Lucyna z uwagą przejrzała dokumenty.

– Ale data jest z czwartku.

– Niemożliwe. A który dzisiaj jest?

– Dziś szesnasty, moja miła.

– Boże – westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że powinna coś z tym zrobić, ale teraz nawet nie miała siły o tym myśleć. – Pisz, jak jest. Na świecie jest pewnie z milion agentów i przecież każdy z nich się może pomylić.

– Dobra. Popatrz tylko, jaki zapobiegliwy dziadek.

– Lucyna pozwoliła sobie na komentarz. – Jeszcze do niedawna ludzie w pewnym wieku tak się o siebie nie troszczyli, bo im się wydawało, że będą żyli wiecznie. O, a jaki ma podpis wycudowany – skwitowała Lucyna z uśmiechem.

– To syn go ubezpieczał – sprostowała szeptem Anka.

– I ma tak samo na imię?

– Pokaż! – mimo osłabienia wykrzesła z siebie nieco energii i spojrzała na polisę. – Niech to cholera.

– Co?

– Nic, wpisz, jak jest – Anka nie miała siły tłumaczyć przyjaciółce, co się stało. Z dokumentów jasno wynikało, że syn, ubezpieczając swego ojca, zamiast zrobić to we własnym imieniu, po prostu podpisał się za ojca, co było niedopuszczalne. I jeszcze ta nieszczęсна pomyłona data na dokładkę.

– Cholerna robota – mruknęła Anka z rezygnacją.
– Matko, jak ja tego nienawidzę.

– Załatwione. Jak będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń. – Lucyna jeszcze chwilę zakrzętała się przy kuchni, przygotowała dla Anki stosowne dawki antybiotyku i wypisała nań receptę dla owczarka niemieckiego o wadze pięćdziesięciu pięciu kilogramów.
– Masz, we wtorek wykupisz lekarstwo, bo nie mam więcej przy sobie, a musisz kontynuować kurację i dociągnąć ją do dziesięciu dni. I nie zapomnij o osłonie na żołądek. Wiesz, te kultury bakterii, pij jogurt.

Chora posłusznie skinęła głową i w infekcyjnej malignie z trudem uniosła rękę, by pożegnać Lucynę. Przyjaciółka i bez niej miała mnóstwo na głowie. Mąż, małe dziecko, praca i całodobowy dyżur pod telefonem. Uwielbiała zwierzęta, kochała swoją pracę, ale równoległe z satysfakcją związaną z leczeniem czworonogów trafiła też na sferę ludzkich słabości, wad i przywar prezentowanych przez właścicieli wyżej wymienionych. Niejednokrotnie, zanim obcięła paznokcie filigranowemu yorkowi, wcześniej musiała jakoś uporać się z roztrzęsioną właścicielką, której zachowanie wskazywało co najmniej na amputację kończyn u pupila, a nie na zwykły psi manicure. Niedawno Lucyna doszła do wniosku, że w swoim fachu powinna dodatkowo zrobić drugą specjalizację – z psychologii. Zwierzęta były w porządku, gorzej z ich właścicielami.

Pomimo stref płatnego parkowania znalezienie w okolicy sądu miejsca na zaparkowanie samochodu graniczyło z cudem. Anka od razu skręciła na

strzeżony parking, ale i tutaj było krucho z wolnymi miejscami. Była dobrym kierowcą i zawsze dostawała szau, kiedy ktoś próbował pomagać jej w parkowaniu. Tak było i tym razem. Pracownik parkingu widocznie uznał, że żadna kobieta nie umie parkować, więc pospieszył z pomocą.

– Czy mógłby mi pan nie przeszkadzać? – wycedziła przez zęby głosikiem pełnym jadu. Parkingowy poszedł jak zmyty.

Sprawnie wpasowała służbowego passata w ciasną przestrzeń między innymi samochodami. Miejsca było na tyle mało, że aby wydostać się na zewnątrz, musiała porządnie wciągnąć brzuch. Przy okazji wyfroterowała płaszczem brudny błotnik sąsiada i klnąc pod nosem, weszła do brzydkiego gmaszyska. Instytucja sądu od zawsze kojarzyła jej się źle. Poza kilkoma mandatami Anka nigdy nie była z prawem na bakier, niemniej podświadomie wolała omijać to miejsce. Teraz miała stawić się w charakterze świadka w sprawie o wyłudzenie odszkodowania. Już od blisko roku nie zajmowała się akwizycją ubezpieczeń majątkowych, ale wystarczył jej rzut oka na lakonicznie zapisany formularz, by od razu zorientować się, w czym rzecz. Nieraz zastanawiała się nad perfidią ludzkiego umysłu. Im mniej chciała o czymś pamiętać, tym częściej o tym coś myślała. Im mocniej chciała zamazać wspomnienia, tym stawały się bardziej wyraziste. Również i teraz, nawet po tak długim czasie, nieszczęsny petent co rusz stawał jej przed oczami, a przecież co dnia spotykała dziesiątki, jeśli nie setki innych ludzi. Pocieszała ją jedynie to, że w tej sprawie mogła usprawiedliwić się upływem czasu i na każde pytanie odpowiedzieć,

że niczego nie pamięta. I tak też zrobiła, choć siedzącego w pierwszym rzędzie mężczyznę poznała od razu, a jego ojca, który z jej przypadkową pomocą naciągnął towarzystwo ubezpieczeniowe na niemałe koszty operacji i pobytu w berlińskim szpitalu, nigdy w życiu nie widziała na oczy. Trochę rozgrzeszyła się faktem, że ubezpieczyciele też nie zawsze są fair, ale i tak czuła się jak typowy krzywoprzysięzca. Zawsze była osobą uczciwą do bólu i kłamstwo nie leżało w jej naturze. Nawet niedawne doświadczenia wyniesione z korporacyjnych kuluarów nie były w stanie tego zmienić. Owszem, uodporniła się trochę i nieco wzmocniła zbroję, ale w dalszym ciągu została tą samą Anką. Sama stanowiła chodzący przykład tego, że pracowitością i zapałem można góry przenosić, a bycie w porządku prawie zawsze się opłaca. W ostatnim czasie udało jej się osiągnąć niezłą pozycję zawodową w pierwszoligowej firmie farmaceutycznej. Startując z posady zwykłego młodszego handlowca, którego zadaniem było codzienne obskoczenie kilkunastu aptek i zbieranie zamówień na maść przeciwko grzybicy, w dość krótkim czasie awansowała na szefa regionu i przejęła nadzór nad podobnymi jej handlowcami. Oczywiście nie wszystkim jej awans był w smak, zwłaszcza konkurencja w postaci jej podwładnych dopiero po jakimś czasie była skłonna nieco przymknąć oko na karierę szefowej.

Ance ten czas w zupełności wystarczył, by okrzepnąć i odnaleźć się w nowej sytuacji. Wcześniej, sprzedając ubezpieczenia, nawet nie zdawała sobie sprawy, ile w pracy i życiu zawdzięcza się innym ludziom. Chociaż ten układ zazwyczaj opierał się na intrygach, kłamstwach i podkopach, w tym spienionym morzu

zawiści i hipokryzji od czasu do czasu trafiało się koło ratunkowe, a czasem nawet i cały okręt płynący pod przyjazną banderą. Anka z marszu polubiła swoje nowe zajęcie głównie za to, że pozwoliło jej zerwać z branżą ubezpieczeń. Teraz nie wyobrażała sobie, że można robić coś tak nudnego i nieciekawego. W agencji również rządziły układy, a podział na równych i równiejszych był aż nadto widoczny. Lukratywne zlecenia dostawali dokładnie ci, którzy mieli je dostać, a Ance i jej podobnym wpadały w sieć same nieciekawe płotki i nie było w tym nic dziwnego, ci na górze bowiem mieli po prostu gęstszą sieć, a ci na dole nie mogli się do nich dopchać. Wspomnienia z tamtych czasów wcale nie były miłe. Fatalna atmosfera w pracy, chora rywalizacja, marne zarobki i Łukasz – nieszczęsny narzeczony.

Wyszła z sądu, zapłaciła za parking i usiadła za kierownicą. Na szczęście w międzyczasie obok zaparkował jakiś mniejszy pojazd i teraz mogła otworzyć drzwi na całą szerokość. Potrząsnęła głową, jakby chciała z niej wytrzepać niewygodne myśli, ale nieszczęsny petent sprzed lat nie chciał zniknąć.

– Cholera by go wzięła – powiedziała i włączyła komórkę. Nie zdążyła uruchomić samochodu, gdy rozdzwonił się telefon. Dzwoniła Maria, kadrowa z firmy. Dziewczę było z gatunku tych bystrych, co wcale nie wykluczało gadania głupot i bezsensownego mieszania w korporacyjnym tyglu. Dziewczyna właśnie uzyskała skądś jakieś nowe informacje dotyczące planowanej restrukturyzacji w pracy i postanowiła podzielić się tą rewelacją.

Anka zamieniła się w słuch. Dziewczyna paplała jak najęta, mając w nosie zachowanie zawodowej

dyskrecji, do której się zobowiązała. Anka, nie chcąc jej sponsożyć, zachęcała ją półsłówkami, ale w chwili gdy usłyszała, jakież to kierownictwo ma plany wobec niej samej, wstrzymała oddech.

– Skąd o tym wiesz? – Anka w końcu nie wytrzymała.

– Och, wiesz. Czyżbyś mnie nie doceniała? – odparła kadrowa z wdziękiem.

– Ależ doceniam, doceniam. Jestem pod wrażeniem – wymruczała Anka tonem pełnym uznania. Doskonale wiedziała, że owo dziewczę jest wyjątkowo łase na pochlebstwa.

– No, to się szykuj na najbliższą konferencję sprzedaży. Tam prezio wszystko ogłosi.

– Przecież jeszcze nikt na ten temat ze mną nie rozmawiał. A jak się nie zgodzę? Jesteś pewna?

– Tak. Przecież wiem, co robię, nie?

Anka zaskoczona przebiegiem rozmowy dla uspokojenia wzięła kilka głębokich oddechów.

Spojrzała w lusterko wsteczne. Ujrzała w nim zaczerwienione policzki i roziskrzzone oczy. Wcześniej nawet przez myśl jej nie przeszło, że przy swoim zamiłowaniu do porządku tak dobrze odnajdzie się na stanowisku handlowca. Ceniła porządek, stabilizację i lubiła wiedzieć, co czeka ją jutro. Wcześniej była pewna, że jest jej przeznaczona poukładana, choć nieco nudnawa egzystencja. Od kiedy zaczęła spotykać się z kolegą z pracy, całkowicie nabrała przekonania, że wspólne sprzedawanie polis na życie to milowy krok naprzód w ich wspólnej karierze. Rzeczywiście świetnie im szło, a gdy połączyli narzeczeńskie siły, stali się naprawdę niezłym teamem. W agencji ukrywali swoją zażyłość, ale z chwilą gdy ich związek

okazał się faktem, w firmie wybuchła afera stulecia. Jak się okazało, Łukasz wcześniej spotykał się z Renatą, szefową działu ubezpieczeń komunikacyjnych, i zrywając z nią, naopowiadał bzdur, że to dla niego zbyt trudne, że ma problemy z oceną własnej orientacji seksualnej i że musi odbudować od podstaw swoje nowe ja, a to wymaga czasu. Wkrótce zaczął spotykać się z Anką. Siłą rzeczy poprosił ją o dyskrecję, a ona się zgodziła. Nie była to znajomość naznaczona kolorowymi fajerwerkami, ale Łukasz ze swoją posturą atlety, nieprzeciętną bystrością umysłu i dobrze rokującą karierą w sprzedaży żyćiówek od zawsze stanowił dla Anki atrakcyjny egzemplarz. Bardzo szybko zostali parą i nie wiadomo kiedy wypłynął temat usankcjonowania związku. Było to tak oczywiste i naturalne, że żadne z nich nawet nie zadało sobie trudu, by przeanalizować sytuację i rozłożyć wspólną przyszłość na czynniki pierwsze. Anka postanowiła zdać się na bieg wydarzeń i z braku czasu poddała się temu, co wymyślił za nią Łukasz. A on wszystko załatwił i ustalił z pomocą matki, która w całym tym ślubnym ferworze rozwinęła skrzydła urodzonego organizatora. Anna, początkowo zadowolona, że ktoś robi coś za nią, oprzytomniała dopiero w chwili, gdy przyszła teściowa zabrała się do wybierania ślubnej sukni. Przy tym zachowywała się tak, jakby to ona sama miała brać ślub, i gdy tylko Anka wkroczyła do akcji, tamta zareagowała pełną obrazą majestatu.

– Błagam cię, pogódźcie się – mina Łukasza rzeczywiście wyrażała błaganie.

– Ale ja nie mam nic do twojej matki – zdziwiła się Anka. – Naprawdę doceniam, że tak nam pomaga,

ale na wybieranie dla mnie sukienki do ślubu w życiu się nie zgodzę. To nasz ślub, a nie twojej matki. To przesada.

– Kochanie, nie bądź taka. Matka ma świetny gust.

– A ja niby nie?! – dziewczyna nie wytrzymała. – To, do cholery, ja idę do ślubu, nie ona!

Łukasz wymownie przewrócił oczami i w duchu podziękował Bogu, że telefon od dużego kontrahenta właśnie wybawił go z opresji. Wykręcając się poszukiwaniem spokojnego miejsca do rozmowy, wyszedł na ulicę i nie było go ponad godzinę. Po powrocie oznajmił, że za kilka dni wyjeżdża na weekendowe szkolenie w Szklarskiej Porębie. Anka zareagowała zdziwieniem, bo zawsze jeździli razem.

– A ja? – zapytała wyraźnie rozczarowana.

– Kochanie – przygarnął ją czule. – Masz tyle na głowie z tym ślubem. Przecież to już za dwa tygodnie. Nie chcę cię fatygować. Jedno trzepanie mózgu na szkoleniu mniej czy więcej nie sprawi ci chyba różnicy, prawda? A tak w ogóle mają tylko jedno miejsce.

– Niech będzie – burknęła niezadowolona, choć w duchu przyznała mu rację. Jedno bicie piany mniej nie robiło w jej wypadku większej różnicy.

– Wezmę na weekend twoje auto, bo moje muszę zostawić w serwisie, wiesz, przegląd gwarancyjny. Dobrze? – pocałował ją w usta. Na jego dotyk zareagowała jak zwykle. Poczuła, że cała mięknie i jest skłonna zgodzić się na wszystko. Nie umiała odmówić mu czegokolwiek.

– Dobrze. – Niechętnie, ale jednak się zgodziła. W nadchodzący weekend miała sporo do załatwienia, a brak auta mocno komplikował sprawę.

– W razie czego weźmiesz taksówkę. Ja jadę trochę dalej – roześmiał się zadowolony z siebie.

Anka przyjęła wszystko, co powiedział, za dobrą monetę i nawet przez myśl jej nie przeszło, by o cokolwiek podejrzewać narzeczonego.

W chwili, w której zobaczyła swoje auto zaparkowane przed podmiejskim hotelem, uznała, że ma jakieś omamy. Normalnie omijała tę część miasta, ale tego dnia w Krakowie remontowano spory fragment ulicy. Wyznaczono dość skomplikowany objazd, a taksówkarz przy okazji pomylił drogę.

– Przepraszam, czy mógłby pan zawrócić pod ten hotel po prawej, który właśnie minęliśmy?

– Wedle życzenia, szanowna pani – taksówkarz odparł usłużnie i zawrócił.

Zamrugała z niedowierzaniem i na dokładkę uszczypnęła się w udo. Niestety nie miała omamów i nic jej się nie przywidziało. Pod hotelem stał zaparkowany jej własny samochód. Z wrażenia wstrzymała oddech i przez dłuższą chwilę bezmyślnie gapiła się na żółtą fasadę hotelu. Miała wielką ochotę iść do recepcji i zapytać o przysłego męża, ale resztkami woli się powstrzymała i wróciła do taksówki.

– Jak się nazywał ten hotel? – zapytała taksówkarza w chwilę później, gdy odzyskała już mowę.

– Arkadia, proszę pani.

– Dzięki – odparła matowym głosem i pogmerła w smartfonie. Znalazła w internecie namiary hotelu Arkadia, wybrała numer telefonu i poprosiła kierowcę, by zapytał o Łukasza Skoczowskiego. Taksówkarz bez problemu spełnił jej prośbę i po minucie oddał Annie komórkę.

– I co powiedziała recepcjonistka? – zapytała niczym automat.

– Że państwo Skoczowscy mieszkają w pokoju numer siedem – odparł mężczyzna doskonale świadom, czego jest świadkiem, a że niejedno już w swojej karierze widział, uznał, że chwilowo lepiej nie będzie się odzywał.

Od dłuższej chwili czuła się, jakby ktoś ją wrzucił na plan jakiegoś serialu dla mało wymagającej widowni i cała ta sytuacja w ogóle jej nie dotyczyła. Teraz jednak zaczęło do niej docierać, że to, co się dzieje, to niestety nie brazylijska mydlana opera. Rzeczywistość dotarła do niej z całą jasnością. Łukasz nie przebywał na żadnym szkoleniu, a szczególnie na tym w Szklarskiej Porębie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wejściu do mieszkania, było sprawdzenie historii rozmów Łukasza na gadu-gadu. Nigdy nie korzystała z jego komputera, nie miał więc hasła ani zablokowanego dostępu. Musiał czuć się całkiem pewnie, ponieważ nawet nie wylogował się z komunikatora. Historia rozmowy z niejaką Reniczką została wykasowana, ale w oknie dialogowym pojawił się ostatni wpis od niej, który pozbawił Ankę resztek złudzeń.

Dwa tygodnie przed ślubem zawałił jej się świat, a że nie ma na ziemi większej furii niż zdradzona kobieta, Anka postanowiła się zemścić. Natychmiast potrzebowała ratunku. Długo się nie namyślając, zwała się więc na głowę Lucynie.

Przyjaciółka już od progu wyczuła, że stało się coś złego, ale nie przypuszczała, że aż tak. Wystarczyły dwa zdania, by w lot załapała, co się stało.

– Matko, czułam, że coś jest nie teges, ale nie sądziłam, że tak bardzo.

– No, pochrzaniło się wszystko – westchnęła zdruzgotana Anka.

Mąż Lucyny przebywał na konferencji, więc wyprawivszy synka do spania, gospodyni w pierwszej kolejności sięgnęła po zapasy wina. Wybrała białe półwytrawne.

– Nieźle – chlipnęła Anka znad kieliszka.

– Kochana, na taką okoliczność nie można pić byle czego. Jak już masz się wstawić, to przynajmniej czymś dobrym. Przecież wszystko naraz nie może być złe. Zaraz zamówię pizzę – powiedziała i profilaktycznie ustawiła pod ręką paczkę chusteczek higienicznych. Anka nigdy nie była beksą, ale przy takiej akcji mogło być różnie. Lucyna dwoiła się i troiła, by rozruszać przyjaciółkę, ale sama miała świadomość, że sytuacja jest beznadziejna. Przygotowania do ślubu szły pełną parą, wszystko było zaklepane i zapłacone. Sukienka wisiała w szafie. Planowanie zemsty samo w sobie było cudowne. Zemsta z zasady była rozkoszą bogów, ale jeśli Anka byłaby skłonna zastosować się do swoich pomysłów choć w połowie, do końca życia nie wyszłaby z więzienia.

– Mam ochotę go zabić. Boże, moja głowa – czknęła rano skacowana Anka.

– Lepiej nie tak prędko. Może najpierw upewnij się jeszcze. Przecież to nie są żarty.

– Co ty powiesz – syknęła Anka sarkastycznie i nagle pobladła. Wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego dobrego. Wstała i biegiem rzuciła się w stronę toalety.

– Żyjesz?

– Tak! Cholerna pizza mi zaszkodziła.

– Noo, jasne. Jak długo żyję, jeszcze nie widziałam, żeby ktoś miał kaca po pizzy.

– Ale ja mam mdłości – jęknęła Anka znad pistacjowego sedesu z motywem oliwek, których nie znosiła.

– Masz! Weź to pod język – Lucyna zaordynowała przyjaciółce tabletkę.

– To dla kotów czy koni? – zapytała Anka świadoma, że przyjaciółkę stać na wiele.

– Nie, głupia – roześmiała się Lucyna – to homeopatyk dla dzieci.

– To jeszcze mi powiedz, jak można dać zielone oliwki na desce od kibla? Równie dobrze mógłby tam być motyw schabowego z kapustą, ech! – Anka mruknęła zniesmaczona, a Lucyna zareagowała głośnym śmiechem.

– To prezent od klienta. Niedawno robiłam jego suczce cesarkę i z wdzięczności, że wszystko dobrze poszło, sprezentował mi tę deskę. Ma jakieś studio reklamowe i robią tam różne takie zabawne rzeczy, a że pękła mi stara deska, tymczasowo dałam tę w oliwki. Lepsza taka niż zimny fajans na tyłku, no nie?

– No pewnie, a co się urodziło? – zapytała Anka przez grzeczność.

– Pięć biszkoptów.

– Czego? – Anka spojrzała na przyjaciółkę jak na wariatkę.

– Matko – Lucyna westchnęła z politowaniem. – Biszkoptowych labradorów, sieroto.

Koniec końców zemsta okazała się słodsza i w stu procentach wynagrodziła zdradzonej narzeczonej wszystkie krzywdy. Co prawda wiele kosztowało ją,

by do dnia ślubu nie ujawnić się z pomysłem i niczego nie dać po sobie znać. Któregoś dnia po powrocie Łukasza z zakrapianej imprezy odczekała, aż zaśnie, i sprawdziła w telefonie historię wiadomości i połączeń. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości. To w dalszym ciągu była Renata z ich wspólnej firmy. Obie zostały oszukane i obie miały rogi. Gdy minął etap czarnej rozpacz, w głębi duszy Anka poczuła dziwną pustkę. Miała wrażenie, jakby nagle przestała czuć, wszystkie emocje gdzieś się ulotniły, a ona zachowywała się jak zaprogramowana na zemstę drewniana kukła. O dziwo dusza przestała boleć. Liczyła się tylko zemsta. Anka do końca działała na zimno. W przeddzień ślubu zwróciła sukienkę do sklepu i za otrzymane pieniądze wykupiła wyjazd do Maroka w systemie last minute. Do kościoła pojechała w trampkach i podartych dżinsach. Nie mogła sobie odmówić ostentacyjnego spóźnienia na własny ślub, którego miało nie być. Miny pana młodego i niedoszłej teściowej w chwili, gdy życzyła im udanej weselnej uczty, wynagrodziły Ance całe wcześniejsze upokorzenie. Nieliczni goście z jej strony już wcześniej zostali uprzedzeni, zatem na placu boju pozostali tylko zaproszeni ze strony Łukasza. Zemsta naprawdę była słodka, zwłaszcza że to jego rodzina poniosła koszty wesela.

– A udławcie się wszyscy – rzuciła pod nosem i odwinęła się na pięcie. W bagażniku miała już spakowaną walizkę, a w kieszeni voucher na wyjazd do Maroka. Otworzyła okno w samochodzie, nastawiła rytmiczną muzykę na cały regulator i nie zważając na ograniczenia prędkości, pognała w stronę lotniska.

Sięgnęła ręką na siedzenie pasażera i wykonawszy ostatecznie połączenie, wyłączyła telefon. Do końca nie była pewna swej decyzji, ale telefon do Renaty rozwiął ostatecznie wątpliwości.

– Jest twój. Gratuluję ci rogów, ja jadę na wakacje nieco spiłować moje.

Renata nie kryła zaskoczenia, a na twarzy Anki niespodziewanie zagościł uśmiech. Poczowała się wolna i lekka jak osoba, która nagle schudła pięć kilo.

Krótkie wakacje w luksusowym hotelu nieco podreperowały skołatane emocje zdradzonej narzeczonej. Cała ta burzliwa historia nie dość, że zszarpała jej nerwy, to jeszcze solidnie zachwiała jej wiarą w siebie. Planowała, że wylegując się na plaży pod parasolem z palmowych liści, będzie miała mnóstwo czasu na analizowanie sytuacji, ale jej plany spaliły na panewce. Już w samolocie poznała wesołe towarzystwo. W założeniu chciała spędzić ten wyjazd samotnie i nie miała najmniejszej ochoty na żadną integrację, ale tamci byli tak sympatyczni, że nawet nie zauważyła, kiedy wpadła w ich kompanię. Osiem osób mniej więcej w jej wieku. Pary i rodzeństwa. Po kilku dniach czuła, jakby znała ich od lat. Gdy przyszedł czas, kiedy uznała, że chce się zwierzyć, wszyscy słuchali jej historii z otwartymi ustami, a niektórzy nawet zapomnieli o stojących przed nimi drinkach z parasolką.

– No więc widzicie. Jestem jak tabula rasa – powiedziała, bo właśnie chwilowo znalazła się bez mieszkania i bez pracy – wszystkie jej potajemnie spakowane rzeczy wylądowały w garażu u Lucyny, a powrót do agencji zdecydowanie nie wchodził w rachubę. Po przyjeździe Anka miała w planie rozejrzeć się za

jakimś odpowiedzialnym i nieco bardziej wymagającym zajęciem.

– No faktycznie, czarna dupa – skwitował poważnie Artur. Niewysoki, przez wszystkich zwany Arturkiem, piegowaty osobnik o marchewkowych włosach nie grzeszył ani urodą, ani posturą. Za to matka natura obdarzyła go tak wielkim urokiem osobistym i tak ciętym dowcipem, że z powodzeniem mógłby nimi obdzielić cały autokar smętnych smutasów.

– Dokładnie, ale masz dziewczyno jaja. Jaja jak głązy – podsumowała Agnieszka, siostra małego rudzielca. – Ani chaty, ani roboty, ani faceta, a ty się bujasz po świecie i świetnie się bawisz.

– To ostatnie skreśl. Facetów mam dość. O! Potąd ich mam! – Anka wykonała poziomy gest na wysokości czoła. – Po kokardę.

– A umiesz sprzedawać? – Arturek jakby nagle doznał olśnienia.

– No pewnie, że umiem.

– Maści na hemoroidy i na grzybicę stóp też?

– Matko jedyna... – Anka знаła Arturka dopiero kilka dni, ale już zdążyła się przekonać, że facet potrafi nieźle narozrabiać. Teraz nawet bała się słuchać tego, co ten błyskotliwy korporacyjny informatyk ma jej do powiedzenia.